

GIEŁDA

SŁÓW

ALENA

GRAEDON

**RUCH OPORU W OBRONIE SŁÓW...?
ELEKTRYZUJĄCY, DYSTOPIJNY THRILLER**

A

Alicja: ż -cji, -cja, -cjami, dziewczyna odmieniona przez refleksję.

Pewnego zimnego i samotnego poranka w listopadzie mój tata zniknął ze Słownika. Nie tylko z ogromnego szklanego budynku na Broadwayu, gdzie mieściło się wydawnictwo. Tej nocy mój ojciec, Douglas Samuel Johnson, redaktor naczelny *Słownika języka angielskiego Ameryki Północnej*, wymknął się z dzieła, które współtworzył.

To było, zanim umarł Słownik, a litery zgasły na stronie. Przed wirusem. Zanim nasz język rozpuścił się jak topniejący śnieg. Zanim utraciłam niemal wszystko, co kochałam.

Słowa, których się nauczyłam, są kołami transmisyjnymi niosącymi mnie przez czas. Portalami do innych umysłów. Bez słów cóż pozostaje? Niezrozumiałe odruchy. Dziwaczne rytuały. Skażone serca. Bez słów jesteśmy tylko sierotami historii. Jakby ktoś wytarł nasze myśli i życie.

Zanim zniknął mój tata, nim pojawiły się pierwsze symptomy S0111, niewiele się zastanawiałam nad życiem. Akceptowałam bez protestu świat, w którym dorastałam i który szybko się zmieniał, powoli odzierany z książek, listów miłosnych, fotografii, map, jadłospisów, terminarzy, okładek płyt i dzienników. Jeśli mi czegoś brakowało, to rzeczy, o których nawet nie pomyślałam,

że mogłyby się wyczerpać. Jak mogło nam zabraknąć słów? Tonęliśmy w morzu informacji. Co minuta bombardowały nas nowe wiadomości zapowiadane dźwiękiem dzwonka.

Od kiedy pamiętam, tata opłakiwał listy grzecznościowe i rękopisy. Czasopisma. Biblioteki. Archiwa. Pieczęcie. Doszło nawet do tego, że z żalem wspominał telefony komórkowe, do których kiedyś z takim trudem się przyzwyczajał. No i naturalnie żałował słowników. W pewnym stopniu rozumiałam jego tęsknotę – piękno starego olivettiego, nożyka do papierów, gęsiego pióra. Zbываłam go jednak lekceważąco, kiedy mętnie i ponuro prorokował zagrożenia i „konsekwencje” płynące z nadużywania meme, kiedy wygłaszał tyrady przeciwko „planowanemu starzeniu” i „uoborosom” i zapowiadał schyłek cywilizacji. Przez lata, kiedy zwiastował to, co w końcu nastąpiło – osłabienie ludzkiej pamięci, panowanie Giełdy Słów, a wreszcie rozprzestrzenianie się językowego wirusa – nikt go nie chciał słuchać. Ani rząd, ani media, ani rynek wydawniczy, ani moja matka, która miała dość tych niekończących się lamentów. Ani ja. Nawet kiedy skończyłam dwadzieścia trzy lata i zaczęłam z nim pracować przy Słowniku. Nikt nie myślał o chorobie dekompresyjnej, jaka może nam grozić wskutek postępu. Wznosiliśmy się beztrąsko coraz wyżej.

No, niezupełnie nikt. Po jakimś czasie dowiedziałam się, że tata miał współspiskowców, ludzi, którzy podzielali jego niemodne poglądy. Lecz nie znałam ich aż do dnia, kiedy zniknął. Właściwie to oni mnie znaleźli.

Miałam się spotkać z tatą na kolacji w barze Fantazyjnym przy Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy. Był to nasz rytuał z czasów mojego dzieciństwa, wskrzeszony miesiąc temu, kiedy odszedł mój chłopak, Max. Cztery lata, które razem spędziliśmy, obróciły się

w pył. Nie powinnam być zaskoczona, oboje wiele razy próbowaliśmy ze sobą zerwać. Lecz właśnie kiedy w końcu zaczęłam wierzyć, że znaleźliśmy jakieś mocne i trwałe oparcie, Max się wyprowadził.

Kiedy weszłam do gabinetu taty z głową huczącą od tej jednej, fatalnej nowiny, zaproponował, żebyśmy wyszli wcześniej z pracy. Pełniłam funkcję jego asystentki, „skryby”, jak ją nazywał. Cztery lata temu, kiedy zaczynałam tę pracę tuż po skończeniu college’u, traktowałam ją jako tymczasową, do chwili, gdy skompletuję swoje malarskie portfolio i złożę papiery na studia. Tak przynajmniej zakładałam. W końcu jednak polubiłam to życie. Czułam się w nim odprężona jak w kąpiel. Miałam czas na oglądanie filmów – długich, włoskich, pozbawionych fabuły; krótkich, brutalnych, francuskich; sensacyjnych, zwłaszcza z silnymi, nieustraszonymi bohaterkami; oraz moich ulubionych – za sprawą taty – wszystkich produkcji z uroczym Busterem Keatonem. Uwielbiałam włóczyć się po pchlim targu przy Trzydziestej Trzeciej i wygrzebywać stare swetry, skórzane pilotki i koszule dla Maxa; zapraszać krewnych i znajomych na lasagne i suflety; spacerować z mamą po parkach High Line i Battery; czasem pracowałyśmy tam jako wolontariuszki.

Prawda była taka, że polubiłam również swoją pracę. Może nie była wielkim wyzwaniem, ale dobrze się bawiłam przeglądaniem fiszek, wprowadzaniem korekt do korpusu, gromadzeniem cytatów, sporządzaniem notatek służbowych. Nawet zebrania redakcyjne nie były takie złe. Kiedy czułam się wyjątkowo niemrawa lub znudzona, biurowa rutyna trzymała mnie na nogach: musiałam dokądś wyjść, uczesać włosy, umyć ręce z gliny (i niepewności). Lubiłam kolegów z redakcji, niektórzy byli takimi samymi dziwakami jak ja. A największą przyjemność sprawiał mi czas, jaki spędzałam z tatą, którego wkrótce, idąc śladem innych pracowników, zaczęłam nazywać

Dougiem, nawet kiedy doprowadzał mnie do szału, co zdarzało się wcale nierzadko. Kiedy dorastałam, tata bardzo dużo pracował, czasem czułam się jakby wyjechał w podróż, mimo że sypiał regularnie w domu. Brakowało mi go, choć nie zawsze zdawałam sobie z tego sprawę. Kiedy jako dorosła osoba zaczęłam spędzać z nim więcej czasu, gdy poznawałam go w całej jego wielkodusznej, rubasznej, a zarazem tytanicznie skrupulatnej chwale, doszłam do wniosku, że mam ogromne szczęście.

Nadal weekendy spędzałam głównie w swojej pracowni, malując, rzeźbiąc i robiąc coś, co Max nazywał „instalacjami”: maleńkie dioramy, ubrania z kevlaru, cynfolii lub liści, ruchome postaci mnie i Maxa wykonujące dziwaczne czynności. „Życie w tu i teraz”, jak to określił Max. Moje portfolio zawsze wydawało mi się niedokończone, za co tata czasami łagodnie mnie beształ.

– Nie sądzisz, że jesteś dla siebie zbyt surowa? Masz większe możliwości, niż ci się wydaje – powtarzał w nieskończoność.

Mnie jednak zawsze się wydawało, że coś jeszcze pozostaje do zrobienia i że powinnam poczekać ze skończeniem pracy.

Plany Maxa – jego studia biznesowe, staż, Hermes Corporation – zawsze wydawały się pilniejsze, zwłaszcza jemu.

– Kiedy zacznę zgarniać kasę – mówił – będziesz mogła sobie zostać, kim zechcesz.

Próbował mnie w ten sposób przekupić. Przez całe życie, ku swemu niezadowoleniu, przyjmowałam pieniądze od innych ludzi, głównie dziadków. (Oni mieli ich dużo, a ja wcale. W dodatku jestem ich jedyną wnuczką. Mimo to zawsze starałam się znaleźć sposób, aby grzecznie odmówić). Lecz w tym, co mówił Max, tkwiło więcej prawdy, niż chciałam to przyznać. Z góry też uważałam za oczywiste, że weźmiemy ślub i będziemy mieli dzieci. Kiedy odszedł, jedną z rzeczy, którym musiałam stawić czoło, byłam ja – sama dla siebie.

Lecz w dniu, kiedy to się stało („Niedługo zabiorę swoje rzeczy”, informowała notatka), nie byłam na to gotowa. Doug to wyczuł. (Może pewną wskazówką były łzy, które płynęły mi po twarzy, kiedy oparłam się o biurko i mocno objęłam go ramionami). Wtedy właśnie zaproponował, żebyśmy poszli do Fantazyjnego.

– Sprawdźmy, czy mam wolne popołudnie – zażartował, przerzucając kartki swojego pustego kalendarza.

On też był samotny, prawie zawsze miał wolne popołudnie.

Przez następny miesiąc, w miarę jak specjalność dnia w Fantazyjnym zmieniała się z pieczeni na klopsy, z klopsów na filet z soli, a w okresie poprzedzającym Święto Dziękczynienia z soli na indyka, każdy piątkowy wieczór spędzaliśmy z Dougiem przy stoliku w prawym kącie pod oknem. Lubiliśmy tę restaurację, ponieważ klientów nadal obsługiwała tam prawdziwa kelnerka. Marla. Miała pomarańczowe włosy i opryskliwy sposób bycia. Przynosiła jedzenie, jakby wyświadczała nam przysługę. Lecz nawet ona była właściwie tylko dla ozdoby; jak w każdym innym miejscu, mogliśmy zamówić potrawy przez meme. Mimo to jej obecność poprawiała samopoczucie. Umiarkowanie szorstkie obejście dobrze robiło przy jedzeniu.

Spotykaliśmy się o wpół do ósmej. Ja przyjeżdżałam z domu, Doug prosto ze Słownika. Nigdy nie spóźniał się nawet o minutę. Zwykle na mnie czekał. Siedział pochylony nad plikiem kartek, nieświadom spojrzeń rzuconych przez małe dzieci, które nie przywykły, że ktoś w miejscu publicznym używa długopisu i papieru, i robił redakcję, dopóki nie wpadłam zadyszana od zimna i smutku nieodstępującego mnie od czasu, gdy odszedł Max.

– Zdam mi pełną relację – prosił, kiedy siadałam obok niego na tandetnym plastikowym krześle.

Tym razem jednak, kiedy przyszłam, zastałam nasz stolik pusty.

Z początku się tym nie przejęłam. Przypomniałam sobie, że

Doug wspominał o jakimś spotkaniu, które miał umówione późno po południu. Próbowaliśmy zamówić herbatę, ale moja mama zmieniła dyspozycję na grog z whisky. Kiedy Marla postawiła przede mną szklanę z mętnym trunkiem – zrobiła to tak zamaszycie, że płyn chlapnęła na stół – odprężyłam się i z przyjemnością pociągnęłam duży łyk. Po dwudziestu minutach serce zaczęło mi bić trochę szybciej. Przez chwilę się zastanawiałam, czy nie pomyliły mi się dni, czy dzisiaj nie odbywa się wielka gala Douga i czy nie powinnam właśnie ubierać się do wyjścia. Tata zakończył dwudziestoseściocioletnią pracę nad nowym, trzecim, wydaniem Słownika – największego przedsięwzięcia w jego pracy zawodowej – i czterdziestotomowe dzieło miało się ukazać za tydzień*. Jednak zanim obawa przed spóźnieniem się na imprezę zdołała w pełni rozkwitnąć w moim umyśle, mama zaświergotała przypomnieniem, że przyjęcie ma się odbyć w przyszły piątek. Podczas gdy słowa powoli gasły na monitorze, z ulgą powróciłam do grogu.

Czekałam w restauracji pół godziny, dręczona rosnącym smutkiem i niedelikatną ciekawością Marli.

– Nie będzie go dzisiaj?

Z niejasnych powodów to lakoniczne pytanie dotknęło mnie do żywego i podsyciło moją rosnącą irytację.

Chyba sześć razy dzwoniłam do gabinetu Douga, aż w końcu,

* Drugie wydanie, które się ukazało w latach dziewięćdziesiątych, było pierwszym dziełem Douga: dwadzieścia tomów, ważące trzysta pięćdziesiąt kilogramów. „New York Times” szalał: „Scholastyczne Delfy; nowy dr Johnson nie jest karłem stojącym na ramionach olbrzymów”. Lecz trzecia edycja wzbudziła niespotykane dotąd zainteresowanie, prawdopodobnie dlatego, że do tej pory słownik ukazywał się wyłącznie w postaci drukowanej. Uroczystość z okazji wypuszczenia słownika na rynek miała się odbyć w ostatnim ocalałym skrzydle Biblioteki Publicznej Nowego Jorku i zapowiadała się na wielkie wydarzenie sezonu, co zaskoczyło mnie, Douga, mamę i właściwie wszystkich innych. Podobno oprócz Chandry z działu marketingu. (Czuję się zobowiązana wyjawić, że te przypisy stanowią część mojej językowej rekonwalescencji. Poinformowano mnie, że mogę je sobie odliczyć od godzin konwersatoriów. Są czymś w rodzaju dialogu z samym sobą. Poprawiają również pamięć).

lekko podchmielona, poprosiłam Marłę o rachunek. Zastanawiałam się, czy nie wrócić do domu, ale stawiałam czoło gwałtownym porywom wiatru i ruszyłam w stronę oddalonego o kilka przecznic Słownika.

Skręciłam za rogiem w Broadway i mogłabym przysiąc, że przez zasłonę włosów, które wiatr przyklejał mi do twarzy, zauważyłam w ciemnej chmurze garniturów oddalającego się Maxa. Serce zabiło mi szybciej. W pierwszym odruchu chciałam się ukryć lub zawrócić, lecz mężczyzna szedł w przeciwnym kierunku i wydawało się, że mnie nie zauważył.

Często go ostatnio widywałam. Zamawiał kawę. Czekał na metro. Obejmował jakąś superlaskę. Naturalnie to nigdy nie był on. Zwyczajny zwid, wytwór zrodzony z oparów wspomnień. Prawdziwy Max przeprowadził się do Red Hook, najdalej położonego, zielonego zakątka Brooklynu, aż do tego miejsca nazywanego Strefą Technokracji. Kiedy tego wieczoru zobaczyłam jego profil w tej wersji, uznałam, że się pomyliłam, i ruszyłam szybko w stronę Słownika.

Z całej siły napałam na szklane drzwi, które stawiały czynny opór, a po moim wejściu wpuściły do środka upiorny skowyt wiatru. Podeszłam do stolika ochrony. Za biurkiem siedział Rodney.

Skinał mi grzecznie głową.

– Dobry wieczór, panno Johnson – powiedział.

– Tata jeszcze na górze? – spytałam, pocierając nos rękawiczką.

– Nie widziałem, żeby schodził. – Rodney przyjrzał mi się z zaciekawieniem.

Na dwudziestym piętrze panowały mrok i pustka. Był piątek wieczór, minęła ósma, tak więc nawet najskromniejsi i najbardziej samotni asystenci etymologów wyszli z pracy kilka godzin temu. Najwyraźniej wszyscy z wyjątkiem Douga. Ruszyłam ciemnym korytarzem w kierunku jego gabinetu. Minęłam swoją kabinę, salę konferencyjną, która wyglądała katastrofalnie ze stołem

zastawionym filiżankami z wystygłą kawą.

Spod drzwi Douga sączyło się światło. Otworzyłam, nie pukając.

– Gdzie byłeś... – zaczęłam w wejściu. Lecz nagle urwałam, ponieważ gabinet był pusty.

Nie potrafię powiedzieć, jaki atawistyczny niepokój przeszył mnie dreszczem, ale poczułam niewytłumaczalny opór przed opuszczeniem gabinetu taty. Nie miałam ochoty tu również zostać, lecz bardziej bałam się wyjść. Zamknęłam drzwi na klucz i zadzwoniłam na portiernię.

– Hmm – mruknął Rodney. – Chce pani, żeby ktoś tam poszedł? Nie wolno mi odejść od biurka, ale mogę wezwać Darryla z dwudziestego drugiego.

Już prawie się zgodziłam, jednak w ostatniej chwili uznałam, że to obłąd. Poza tym Rodney mówił jakoś dziwnie... jakby się rozgniewał. W tym momencie zauważyłam na fotelu Douga znajomy przedmiot: jego skórzaną brązową torbę.

– Nieważne – rzuciłam do telefonu.

Gdziekolwiek zniknął Doug, pomyślałam nieco uspokojona, niebawem wróci. A tymczasem nadarzyła mi się niezwykła okazja.

To była wyjątkowo rzadka sytuacja, że znalazłam się w gabinecie Douga pod jego nieobecność. W przeciwieństwie do mieszkania taty, które robiło wrażenie przytłaczająco pustego, chociaż rozeszli się z mamą już ponad rok temu, biuro wypełniały moje ulubione ojcowskie rupiecie: pozwolenie na polowanie na rogate zające, które ciotka Jean przysłała tacie z ich rodzinnego miasta – imiennika mojego ojca – Douglas w stanie Wyoming; szklana miska ze słodką i słoną lukrecją, a przy lampce mała buteleczka z korkiem zawierająca wiekowy ocet winny z sherry. Doug twierdził, że trzyma go do sałatek, ale nieraz widziałam, jak od czasu do czasu pociąga z niego solidny łyk.

Przy drzwiach biegly po ścianie rury poczty pneumatycznej,

kończące się wylotem z koszem opatrzonym napisem „Przychodząca”. Za każdym razem uderzała mnie myśl, jak zbędna jest ta etykieta. Lecz to samo można było właściwie powiedzieć o całym systemie. Kiedy w 1974 roku Doug, mając dwadzieścia siedem lat, tyle co ja teraz, zaczynał pracę w Słowniku, od samego początku prowadził energiczną kampanię na rzecz instalacji poczty pneumatycznej w celu zapewnienia szybkiego i bezpiecznego przesyłu „poufnych danych”: na przykład neologizmów, spornych kwestii pochodzenia, szczególnie drażliwych etymologii itp. Wróżby wyjęte z ciasteczek. Komiks. Czekoladowe jajko. W tamtych czasach Słownik zajmował dwa piętra i Doug przekonywał, że rury zwiększą efektywność pracy. Odrzucił sugestie, że poczta pneumatyczna staje się przeżytkiem, że jest kosztowna i nieporęczna. Zlekceważył „pogłoski”, że niebawem komputery pozwolą na elektroniczne przysyłanie informacji. I wbrew wszelkim rozsądnym argumentom zarówno zarząd wydawnictwa, jak i administratorzy budynku wyrazili zgodę na montaż. Doug potrafił być wyjątkowo przekonujący. (Choć moja mama by się z tym nie zgodziła).

Nie było to łatwe. Oprócz Słownika w budynku znajdowało się wiele innych instytucji, w tym okresie głównie wydawnictwa. Jako redakcja non-profit, utrzymywana z funduszy rządowych oraz innych subwencji, SJAAP działał całkiem niezależnie. Przyznano mu nawet ulgę od opłat czynszowych, ponieważ właściciele budynku byli zadowoleni z prestiżowej nazwy figurującej pod ich adresem w książce telefonicznej. Kiedy system poczty pneumatycznej dowiódł swej skuteczności w Słowniku, zaczęto go rozbudowywać na resztę budynku. I z początku używali go niemal wszyscy. Na każdym piętrze założono stację, a dodatkowo w niektórych gabinetach, na przykład u Douga, gdzie przesyłki dochodziły bezpośrednio. Operator w podziemnej sterowni przekierowywał dokumenty w odpowiednie

miejsce i rzeczywiście wszyscy uznali to za prawdziwe dobrodziejstwo, kiedy umowy, notatki służbowe i wszelkie inne dokumenty przechodziły z jednego miejsca w drugie wyjątkowo łatwo i szybko. Później, kiedy komputery rzeczywiście rozpowszechniły się w zawrotnym tempie, Słownik skurczył się do jednego piętra i operator zaczął dzielić swój czas między sterownię a równie przestarzałą kancelarię. Z poczty pneumatycznej korzystano coraz rzadziej, aż w końcu zamknięto ją na dobre.

Wszystko to było dla mnie oczywiste, ale tego wieczoru nie wiedziałam jeszcze, że nie tylko nasz budynek w mieście wyposażono w instalację pneumatyczną. Założono ją co najmniej w kilku innych miejscach, i to całkiem niedawno. Minęłam stację przychodzącą poczty i zaczęłam oglądać książki. Tata był jedną z niewielu osób, które nadal czytały wydania drukowane, zamiast limnów z meme lub innego inteligentnego monitora. Nawet pracownicy Słownika rzadko korzystali z analogowych książek. Poza Bartem, należy dodać. Bart był protegowanym mojego ojca, o co zawsze byłam trochę zazdrosna, i szefem działu etymologii, który tata nazywał Wydziałem Martwych Liter, a także zastępcą redaktora naczelnego Słownika. On również miał mnóstwo książek. Oczywiście Bart i Doug nie byli całkiem odosobnieni. Istnieli też inni zwolennicy tej anachronicznej tradycji. A także bibliofile i kolekcjonerzy, którzy gromadzili wszelkie antykwaryczne „przedmioty”.

Na jednej z półek przed biografią Samuela Johnsona* stała na

* Ten drugi dr Johnson żył w osiemnastym wieku i był autorem pierwszego obszernego słownika języka angielskiego. Mieli z Dougiem wiele wspólnych cech: ciekawość, sceptycyzm, obfite kształty, złamane serca oraz geniusz leksykograficzny. Doug często powtarzał, że to nazwisko jest jego przeznaczeniem. A zasłużył na nie uczciwie: babcia i dziadek Johnsonowie dowiedzieli się o tym eponimicznym językoznawczym przodku Douga dopiero wtedy, kiedy tata zaczął pisać prace licencjacką.

wpół pusta buteleczka z ulubioną wodą po goleniu Douga, Bay Rum. Tata utrzymywał, że z jej powodu musi co kilka lat wyjeżdżać na Dominikę, aby się zaopatrzyć w kosmetyk, który tylko tam produkują. Jej widok wywołał bolesne wspomnienia. Polecieliśmy na Dominikę z Maxem niedługo po tym, jak się poznaliśmy. Buteleczka na półce była prawdopodobnie zabytkiem z tej wyprawy, przywieźliśmy tacie całą skrzynkę. „Danina dla przyszłego teścia”, powiedział wtedy Max.

Zaopatrzyliśmy Douga również w zapas ananasów. Ma do nich szczególne upodobanie. W gabinecie znajdowało się kilka akwafort z tymi owocami, a także duża brązowa podpórka do książek w kształcie ananasa. Miał też kilka krawatów, koszul i skarpetek w ananasowe wzory; misy ze starymi czekoladkami w żółto-zielonych papierkach. W doniczkach rosło osiem ananasów, posadzonych pod specjalnymi lampami. Zauważyłam, że mają trochę sucho i pomyślałam, że muszę o tym powiedzieć Dougowi. Jeśli się pojawi.

Nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Sprawdziłam meme, wzięłam lukrecję ze słoja, potem czekoladkę w ananasowym papierku, po czym schowałam kilka smakołyków do kieszeni płaszcza na później, razem z piórem, którego zawsze Dougowi zazdrościłam. I przez jakieś dwie minuty próbowałam czytać książkę, dopóki mój umysł nie oklapł z nudy.

Zaczęłam też odczuwać lekki niepokój, jakby łaskotały mnie w policzek niewidzialne włosy. Aby się pozbyć tego uczucia, przyniosłam wodę do podlania bromeliowatych ulubieńców taty i wdychałam uspokajający, orzechowy zapach wilgotnej ziemi.

I nagle poczułam rozkoszny dreszcz grzesznych myśli.

Od kiedy pamiętam, zawsze byłam ciekawa, co Doug trzyma w biurku. Jednym uchem nasłuchiwałam odgłosów z korytarza, a jednocześnie usiadłam na fotelu i zaczęłam zaglądać do szuflad. Większość wypełniały rupiecie związane z pracą: luźne papiery,

pogniecione notatki, połamane ołówki. Następnie pociągnęłam za uchwyt szuflady po lewej stronie, lecz nie chciała drgnąć. Szarpnęłam drugi raz, trochę zbyt gorączkowo, i wtedy wyskoczyła z grzechotem i trzaskiem złamanego pióra, które utknęło z tyłu.

Gdybym powiedziała, że zaskoczyło mnie, co Doug trzyma w szufladzie, nie byłoby to do końca prawdą. Ale rozczarowało. Znalazłam w środku prawdopodobnie największą prywatną kolekcję zdjęć* Very Doran na świecie. Mojej matki. Przyszłej byłej żony Douglasa Johnsona. Zrobiło mi się przykro, że poplamiałam je atramentem. Ale poczułam też odrobinę niesprawiedliwej satysfakcji. Max powiedziałby, że przypadki nie istnieją. Była moją matką i kochałam ją, ale momentami wolałabym, żeby Doug już jej nie kochał. Przeżywałam męki, widząc, jak cierpi.

Niełatwo też było patrzeć na całą historię naszej rodziny przez nowe, ciemne okulary. Czy matka naprawdę była nieszczęśliwa? Wydawało się, że nie. Moi rodzice nigdy nie należeli do tych posepnych par, jakie widywałam w domach kolegów. Obejmowali się, przytulali i mówili sobie, że się kochają. I wydawało się to tak oczywistą prawdą, że słowa zdawały się wręcz zbędnym naddatkiem. Doug potrafił odśpiewać w kuchni fragmenty *Don Giovanniego*, kiedy Vera piekła kurczaka i śmiejąc się, próbowała nie rozlać wina. Pisał liściki miłosne i rysował śmieszne obrazki na listach zakupów i przepisach kulinarnych. Mama tańczyła w salonie mambo lub udawała, że korytarz jest wybiciem dla modelek. To prawda, że ich kłótnie zamieniały się w prawdziwe burze z piorunami, nierzadko w powietrzu latały przedmioty, ale zawsze uważałam to za dobry znak. I może taki był, ponieważ

* W tej dziedzinie Doug również nie przestawił się na cywilizację cyfrową. Kiedy byłam dzieckiem, czyli około 2002 roku, wywoływaaliśmy razem odbitki w jednej z największych ciemni w mieście, w Chelsea.

w ciągu ostatnich lat kłótnie stawały się coraz rzadsze, aż w końcu całkiem ustały.

Nie dało się jednak zaprzeczyć, że zdjęcia Very ukryte w szufladzie Douga były fantastyczne. Vera Doran jako Blanche DuBois w licealnym, dziewczęcym przedstawieniu *Tramwaju zwanego pożądaniem*. Vera w pięknych dzwonach, z włosami do pośladków i w pomarańczowych sandałach na koturnach, odpoczywająca obok sceny (w Woodstock), żartująca z kudłatymi mężczyznami (z Creedence Clearwater Revival), którzy mieli wystąpić na scenie. Vera w dżinsach namalowanych na ciele, obok dużego napisu JORDACHE – to fragment reklamy z 1978 roku, kiedy moi rodzice byli młodym małżeństwem i mama nadal dorabiała jako modelka. Sześciolatka Vera w urodzinowym stroju księżniczki w domu Doranów przy Sześćdziesiątej Ósmej, pozująca w tiarze wysadzonej prawdziwymi brylantami. Oraz moje ulubione, ślubne zdjęcie rodziców, teraz fatalnie upstrzone czarnymi plamami. Dwudziestojednoletnia Vera, świeżo upieczona absolwentka college’u Bryn Mawr, z gęstym nimbem kasztanowych włosów, w krótkiej, srebrnej sukience z lamy. (Widząc ją, pani Doran oznajmiła swojej córce, że na szczęście jest na ceremonii coś ze srebra, ponieważ żadnego innego nie odziedziczy). Na fotografii uśmiechnięty pan młody – rumiany, kudłaty* młodzieniec, niemal dwukrotnie większy od niej, w ogromnych, grubych okularach i szerokim krawacie w ananasowe wzorki – wkłada jej do ust błyszczący kawałek tortu ananasowego.

Przez dłuższą chwilę usiłowałam oczyścić fotografię z atramentowych plam. Vera jest na zdjęciu swobodna i figlarna, śmieje się w głos, kiedy Doug wkłada ciastko w jej otwarte usta

* W Oksfordzie, gdzie robił magisterium, nadano mu przezwisko Ursie, ponieważ przypominał niedźwiedzia. Jasnorude, kręcone włosy rosły prawie na całym ciele, od palców rąk i nóg aż po klatkę piersiową, plecy i uszy. Czasem mnie to peszyło, na przykład kiedy byłam dzieckiem i chodziliśmy razem na plażę.

o kształtnych, pełnych wargach. Skręca się lekko w bok, obserwując coś, co znajduje się poza zasięgiem obiektywu. On za to skupia na niej całą uwagę z absolutnym uwielbieniem, nie zważając na wszystkich otaczających go ludzi obecnych na miejscu zbrodni, czyli weselu, które odbyło się w 1975 roku w ogrodzie majątku Doranów w East Hampton.

Ogarnęło mnie coś, co mój tata by nazwał „napadem spleenu”. Źle się poczułam podczas oglądania tych zdjęć. Zdawały się kolejnym dowodem na to, że żadne uczucie nie jest wieczne, że w końcu każdy, kogo kochasz, w ten czy inny sposób zniknie.

W szufladzie znajdowały się też inne zdjęcia Douga, które później skonfiskuje policja. Na jednym z nich tata jako nastolatek stał z ciotką Jean nad rzeką Platte i oboje trzymali w dłoniach tłustego, brązowego pstrąga. Drugie zrobiono, kiedy wygłaszał mowę z okazji swego doktoratu na Harvardzie: „Johnson&Johnson – romans ze *Słownikiem języka angielskiego*”. Dalej zdjęcie Douga pływającego łodzią po Tamizie w Oksfordzie; a także nasza wspólna fotografia, zrobiona, kiedy miałam dwanaście lat, przy pomniku *Alicji w krainie czarów* w Central Parku. Występowałam w szkolnym przedstawieniu i tata kazał mi włożyć kostium do zdjęcia.

W szufladzie znajdowało się coś jeszcze, zagrzebane głęboko pod historią naszej rodziny: alef Douga. To nieprawda, że Doug nie miał meme. Miał, lecz jej nie używał. (Był niezadowolony, że ja korzystam ze swojej, lecz tę bitwę toczyliśmy przez długi czas. Wymusił na mnie rezygnację z opcjonalnego mikrochipu; zresztą mnie również napawały one pewnym niepokojem. Ale byłam ciekawa, co potrafi nowa meme, która miała się niebawem ukazać, i zastanawiałam się nawet, czy sobie jej nie sprawić). Doug miał jednak alefa, o czym całkiem zapomniałam. Był to pierwszy model meme, wprowadzony na rynek przez Synchronic Incorporated. Nie rozpowszechniano go zbyt szeroko, lecz kilka

sztuk dostali niektórzy ważniejsi wydawcy.

Z tego, co wiem, Synchronic wybrało nazwę alef, ponieważ symbolizuje liczbę jeden, a także pierwszą literę w alfabecie hebrajskim. Lecz nazwa się nie sprawdziła, ponieważ nikt nie potrafił jej wymawiać, a urządzenie miało mnóstwo defektów. Wyposażono je w bardzo prymitywną wersję oprogramowania: szósty zmysł, jego korona, nazywana wówczas diademem, prawie nie miała czujników; mogła tylko z grubsza oceniać podstawowe stany umysłu. Nawet po wielu tygodniach nauki rozpoznawania indywidualnych preferencji alef tylko w dziesięciu procentach potrafił odczytywać potrzeby swego właściciela.

– Może nie jest zbyt inteligentny – stwierdził Doug. – Ale za to ma charakter.

Nie miał. Wielu użytkowników narzekało, że w czasie gry w *Ping* łąduje się chińska strona z prognozą pogody albo że urządzenie przekierowywało ich na strony rosyjskich gier hazardowych, kiedy próbowali oglądać rozgrywki pokera na żywo. Półtora roku później udoskonalono zarówno sprzęt, jak i oprogramowanie, i bezceremonialnie przemianowano go na meme, a Synchronic oferował wysokie rabaty każdemu, kto zdecyduje się na wymianę. W efekcie w obiegu pozostało bardzo niewiele alefów, wśród nich urządzenie Douga. Początkowo nie zdawałam sobie sprawy, jakie znaczenie miało to, że go znalazłam.

Był duży, niewiele mniejszy od książki, z nieporęcznymi, sterczącymi przyciskami i klawiszami. Włączyłam go, odgadłam hasło za trzecim razem – jedno z wielu pieszczotliwych imion mojej mamy. Czekaając, aż się uruchomi, podeszłam do okna. Zastanawiałam się, gdzie jest tata.

Odgłosy ulicy, mrugającej do mnie biało-czerwonymi światłami, tłumiło dziewiętnaście pięter dzielących mnie od ziemi. Niekiedy wiatr wstrząsał budynkiem tak, że trzeszczał niczym statek na pełnym morzu. Patrzyłam, jak moje odbicie

zarysowuje się na powierzchni szyby niczym obraz na światłoczułej powierzchni odbitki. Gdyby ktoś zaglądał do pokoju z zewnątrz, widziałby mnie jak na zdjęciu, natomiast dla mnie, gdy obserwowałam świat po drugiej stronie, szyba stała się lustrem. Moja twarz unosiła się w powietrzu na tle niewyraźnych kształtów za oknem. Odległość od ziemi wywoływała wrażenie, że życie ludzkie jest iluzją. Przez moment miałam uczucie, jakbym spadała w przepaść, i jakby obie dziewczyny – ta widoczna na szkłe i ta obserwowana z zewnątrz – stąpiały się w jedno.

Po chwili złudzenie prysło, lecz na mojej skórze pozostała warstwa potu. W uszach szumiała mi krew niczym morska orkiestra, zdawało mi się, że gdzieś trzasnęły drzwi. Serce podskoczyło mi w piersi. Zamarłam, nasłuchując odgłosów z korytarza, ogarnęła mnie przemożna chęć ucieczki. Rzuciłam okiem na torbę Douga, jakbym szukała na niej napisu „zaraz wracam”.

Wtedy mniej więcej jednocześnie wydarzyły się cztery rzeczy.

Najpierw usłyszałam znajmy odgłos – cichy warkot metalowej kapsuły przelatującej przez rurę poczty pneumatycznej, a następnie melodyjny brzęk, kiedy plastikowy pojemnik wpadł do kosza, gdzie leżała wcześniejsza przesyłka. Odruchowo wyjęłam obie kapsuły i otworzyłam pokrywki. Wiadomości wyglądały całkiem zwyczajnie. Przeczytałam pierwszą, którą napisano na maszynie*. Zawierała definicję: Dia-chronicz-ny – sposób patrzenia na język, który wychodzi z użycia”. To nie miało sensu. Definicja wydawała się nawet niepoprawna. Co właściwie wychodziło z użycia: badanie czy język? Nie było też jasne, kto przysłał notatkę,

* Nauczyłam się rozpoznawać te energiczne, kapryśne litery całkiem niedawno; kilka tygodni przed swoim zniknięciem Doug odkurzył starą maszynę Olivettiego. Sprawdziłam potem, czy krój jej czcionki pasuje do enigmatycznych notatek. Nie pasował.

brakowało inicjałów. A co najdziwniejsze, na papierze widniały brudne smugi i odciski palców.

Z nadzieją, że w drugiej wiadomości znajdę jakąś wskazówkę, rozwinęłam notatkę i przeczytałam: „Odebraliśmy twoje SOS. Czekamy w gotowości”. Ten liścik został napisany odręcznie na papierze z wytłoczonym podpisem: dr Phineas Thwaite. Znałam to nazwisko, doktor Thwaite był jednym z autorów Słownika, współpracującym z redakcją z zewnątrz. Nieco zbita z tropu zamierzałam położyć obie notatki na biurku i wzięłam do ręki alefa, żeby zrobić miejsce, a wtedy zauważyłam, że urządzenie się wreszcie uruchomiło. Ze zdziwieniem zobaczyłam na wyświetlaczu otwartą stronę Słownika, i to nie przypadkową, lecz stronę z literą J, gdzie znajdowała się notka biograficzna Douga*. Wprawdzie tata bywał czasem całkowicie pochłonięty sobą, lecz zaskoczyło mnie, że zostawił limn otwarty na tej właśnie stronie.

Jeszcze bardziej jednak mnie zaskoczyło, że w ogóle używał alefa – sądziłam, że od lat nie brał go do ręki. Twierdził, że od czasu, kiedy zaprogramował go jego poprzedni asystent, Sam, korzystał z niego zaledwie przez kilka miesięcy, po czym zrezygnował. Uprzytomniłam sobie jednak, że urządzenie by się nie włączyło, gdyby nie było chociaż trochę naładowane. Zastanawiałam się, po co Doug to zrobił i czemu oglądał swoje hasło słownikowe. Postanowiłam, że nie omieszkam mu dogryźć,

* Nie wszystkie słowniki zawierają hasła biograficzne; nie ma ich na przykład oksfordzki słownik języka angielskiego i Doug wolałby ich również uniknąć w SJAAP, lecz czyniąc ukłon w kierunku trendów obowiązujących w środowisku amerykańskich leksykografów, a zarazem ulegając naciskom naszego zarządu, przystał na wprowadzenie do drugiego wydania haseł niektórych znanych osób. Od początku jednak nie zgadzał się na zamieszczenie hasła o sobie – nie jest na tyle znaczącą postacią, aby to usprawiedliwić, stwierdził, a kiedy zobaczył ten „błąd” w druku (po wydaniu), zastanawiał się nawet nad wprowadzeniem poprawki w erracie. „Zajmujemy się definiowaniem słów” – napisał ze złością do swoich współpracowników w notatce służbowej. – „Definiowanie ludzi powinniśmy zostawić innym”. Zakończył jednak łagodniejszym tonem: „Lubię pracować bez rozgłosu (razem z wami wszystkimi)”.

kiedy się pojawi, i dalej przeglądałam wyświetlony tekst, szukając odpowiedniego cytatu, lecz jego hasła nie było.

Przewinęłam indeks w tył i w przód; za każdym razem hasła przeskakiwały z Andrew Johnsona na Earvina (Magica) Johnsona. Douglasa Johnsona brakowało. Ani śladu miniatury z obliczem szeroko uśmiechniętego Douga, ani śladu danych biograficznych. Mój tata zniknął ze Słownika.

Z niemiłym dreszczem otworzyłam jego torbę, lecz poza jedną koszulą niczego w niej nie znalazłam. Żadnych długopisów, papierów, książek, portfela. Zaświtała mi w głowie nieproszona myśl, że torba jest tylko przynętą, a tata wcale nie zamierzał po nią wracać.

Pokój zaczął się kurczyć, czerwone światła maleńkich samochodów na ulicy dwadzieścia pięter pode mną zdawały się unosić i mrugać w jednym rytmie z czerwoną lampką w telefonie stojącym na biurku.

I właśnie w tym momencie zaczął dzwonić.

W pierwszej chwili wpadłam w panikę, zaraz jednak pomyślałam, że to na pewno tata dzwoni, żeby się wytłumaczyć. Schyliłam się, żeby spojrzeć na wyświetlacz, lecz na ekraniku nie pokazało się żadne zdjęcie, tylko nazwisko dzwoniącego: Phineas Thwaite. Zanim zdążyłam się zdecydować, czy powinnam odebrać, telefon umilkł, a na monitorze pojawiła się informacja o piętnastu nieodebranych połączeniach. I jeszcze coś, co pomogło mi podjąć decyzję o ucieczce. Jeśli impuls można nazwać decyzją.

Wszystkie telefony w redakcji wyposażone były w przycisk szybkich połączeń między szefami i ich asystentami. Tego wieczoru już z daleka mi się wydawało, że wyświetlacz w telefonie taty wygląda inaczej niż zwykle, a kiedy przyjrzałam mu się bliżej, stwierdziłam, że napis się zmienił. Informował teraz: „Gorąca linia z Alicją”. Od razu się domyśliłam, że coś nie gra, ponieważ ja wcale nie mam na imię Alicja. Alicja to literacka inspiracja, której miałam nadzieję nigdy więcej nie